



HARLAN COBEN

Błękitna krew

Thriller

1

Przez kartonowy peryskop Myron Bolitar patrzył na gęstą ciżbę pociesznie ubranych widzów. Kiedy po raz ostatni korzystał z tej zabawki? Przypomniwał sobie, jak wysyłał pieczęcie z pudełek po chrupkach śniadaniowych Cap'n Crunch. Wspomnienie to stanęło mu przed oczami niczym czarne plamki od patrzenia w słońce, po których boli głowa.

Obserwował w lusterku mężczyzn w pumpach — w pumpach, litości! — stojących nad małą białą kulką. Maniacy w pociesznych strojach mamrotali podekscytowani. Myron stłumił ziewnięcie. Mężczyzna w pumpach przykucnął. Po krótkiej przepychance wśród śmiesznie odzianego mrowia zaległa niesamowita cisza. Wszystko zamarło, tak jakby nawet drzewa, krzewy i starannie przyszyżone źdźbła trawy wstrzymały pospołu oddech.

A potem ten w pumpach walnął w białą kulkę kijem.

Tłum zaszemrał sylabami niezrozumiałymi jak przekomarniczki dochodzące zza sceny w teatrze. Piłeczka wzbila się w powietrze, pomruki się natężyły. Można już było rozróżnić

słowa, a zaraz potem zdania: „Wyborne zagranie”, „Super uderzenie”, „Przepięknie strzelił”, „Kapitałnie kropnął”.

— Panie Bolitar?

Myron odjął peryskop od oczu. Z chęcią zawołałby „Peryskop w górę!”, gdyby nie obawa, że w snobistycznym dostojnym Klubie Golfowym Merion uznają to za dziecinadę. Szczególnie podczas Otwartych Mistrzostw Stanów. Spojrzał na rumianego jegomościa koło siedemdziesiątki.

— Pańskie spodnie — powiedział.

— Słucham?

— Boi się pan wpaść pod wózek golfowy?

Pomarańczowo-żółte portki miały odcień o ton jaskrawszy od wybuchającej supernowej, ale ich właściciel bynajmniej nie wyróżniał się strojem. Większość widzów obudziła się widać z dylematem, w co się odziać, by pasowało do otoczenia jak pięść do nosa. Wielu wybrało oranże i zielenie, jakimi świecą najtandetniejsze neony. Dużym powodzeniem cieszył się też kolor żółty oraz dziwne odcienie fioleto, najczęściej w zestawieniach odrzuconych przez wszystkie pomponiarki ze szkół średnich na Środkowym Zachodzie. Czyżby kogoś tak zakłuło w oczy stworzone przez Boga naturalne piękno, że postanowił je zeszpecić? A może zadziałał tu inny mechanizm? Może owa papuzia konfekcja miała bardziej praktyczne źródło? Może w czasach, gdy zwierzęta biegały wolno, golfiści odstraszaali ciuchami dziką faunę?

Niezła teoria.

— Musimy porozmawiać — szepnął starszy pan. — W pilnej sprawie.

Jowialna krągłość jego policzków przeczyła błagalnemu spojrzeniu.

— Proszę — dodał, chwytając Myrona za rękę.

— O co chodzi?

Nieznajomy poruszył szyją, jakby uwierał go ciasny kołnierzyk.

— Jest pan agentem sportowym, prawda?

— Tak.

— Jest pan tu, żeby zdobyć klientów.

Myron zmrużył oczy.

— Skąd pan wie, że nie podziwiam fascynującego spektaklu, jakim są spacerujący dorośli?

Starszy pan nie uśmiechnął się, ale przecież golfiarze nie słyną z poczucia humoru. Znowu poruszył szyją i przysunął się bliżej.

— Mówi panu coś nazwisko Coldren? — spytał schrypłym szeptem.

— Oczywiście — odparł Myron.

Gdyby zadano mu to pytanie wczoraj, nie wiedziałby, o kim mowa. Golfem interesował się średnio, a przez minione dwadzieścia lat Jack Coldren był graczem co najwyżej przeciętnym. Jednak po pierwszym dniu Otwartych Mistrzostw Stanów, na parę dołków przed końcem drugiej rundy, nieoczekiwanie wyprzedzał stawkę o imponujące osiem punktów.

— A czy wie pan, kim jest Linda Coldren?

To pytanie było łatwiejsze. Linda, żona Jacka Coldrena, od dziesięciu lat dominowała w światowym golfie kobiecym.

— Tak.

Nieznajomy pochylił się i znowu poruszył szyją. Nie dość że irytująco, to zaraźliwie. Myron musiał walczyć z pokusą, żeby go zmałpować.

— Są poważnych kłopotach — szepnął mężczyzna. — Jeżeli im pan pomoże, zyska nowych klientów.

— Jakich kłopotach?

Starszy pan rozejrzył się.

— Tu jest za dużo ludzi — rzekł. — Proszę ze mną.

Czemu nie. Myron wzruszył ramionami. Odkąd zaciągnął go tu przyjaciel i partner w interesach, Windsor Horne Lockwood Trzeci, w skrócie Win, ten staruszek był pierwszą osobą, z którą nawiązał kontakt. Ponieważ turniej rozgrywano w Merion — macierzystym polu golfowym rodu Lockwoodów od jakiegoś miliarda lat — Win uznał, że to świetna okazja do zdobycia kilku doborowych klientów. Myron miał w tej mierze nieco inne zdanie. Od hord agentów sportowych, rojących się na zielonych łakach klubu golfowego na podobieństwo szarańczy, odróżniała go, jak sądził, jawna niechęć do golfa, co nie stanowiło najlepszej reklamy w oczach wyznawców tego sportu.

Myron Bolitar prowadził, mieszczącą się przy Park Avenue w Nowym Jorku, agencję RepSport MB. Jej powierzchnię dzierżawił od dawnego współlokatora z akademika, Wina, wielkiego bankiera inwestycyjnego, białego bogacza z dziada pradziada, do którego rodziny należała, mająca siedzibę na tejże Park Avenue, firma Lock-Horne Securities. Myron negocjował umowy ze sportowcami, Win, jeden z najbardziej szanowanych maklerów w kraju, zawiadywał ich finansami i inwestował pieniądze, resztą zaś zajmował się trzeci filar zespołu MB, Esperanza Diaz. Szli więc — cóż za patriotyzm — za chwalebnym przykładem trójpodziału demokratycznej amerykańskiej władzy.

Slogan reklamowy: Wybierz RepSport MB — konkurenci to kryptokomuszki.

Kiedy starszy pan prowadził Myrona wśród tłumu, kilku mężczyzn w zielonych marynarkach — modnych głównie na

polach golfowych (jako strój maskujący na tle trawy?) — pozdrowiło go szeptami: „Moje uszanowanie, Bucky”, „Świetnie wyglądasz, Buckster”, „Doskonała pogoda na golfa, Buckaroo”. Ich wymowa zdradzała, że skończyli prywatne szkoły i są bogaczami, dla których „zima” i „lato” to czasowniki. Myron już miał zrobić uwagę o nazywaniu dorosłego mężczyzny „Bucky”, lecz kiedy masz na imię Myron... nie śmieję się dziadku z cudzego wypadku.

Jak wszystkie imprezy sportowe w wolnym świecie, także i ta przypominała bardziej gigantyczny billboard niż arenę zmagañ. Sponsorem głównej tablicy była IBM. Canon rozdawał kartonowe peryskopy. Pracownicy American Airlines obsługiwali stoiska z gastronomią. (Linie lotnicze handlujące żywnością? Co za geniusze to wymyślili?). Aleję Korporacyjną zapełniały firmy, które buliły powyżej stu tysięcy od łebka za rozstawienie na kilka dni namiotu, głównie po to, by swoim dyrektorom stworzyć pretekst do obejrzenia turnieju. Travelers Group, Mass Mutual, Aetna (golfiści kochają się ubezpieczać?), Canon, Heublein. Heublein? Co za czort? Wyglądali na miłą firmę. Pewnie kupiłby jej produkty, gdyby wiedział, co sprzedają.

Najzabawniejsze, że na Otwartych Mistrzostwach Stanów było mniej komercji i reklam niż na innych zawodach golfowych. Na razie bowiem nikomu nie przehandlowano tej nazwy. Nazwy innych turniejów, opatrzone nazwiskami sponsorów, brzmiały cokolwiek głupio. Komu by się chciało ruszyć tyłek, żeby wygrać turniej Otwarty JC Penney, Otwartego Micheloba, a nawet Trzyrundowy Challenge Wendy's.

Starszy pan zaprowadził go na parking dla wybranych. Z mercedesami, cadillacami, limuzynami. Wśród nich stał

jaguar Wina. Amerykański Związek Golfa umieścił tam niedawno tablicę z napisem PARKING TYLKO DLA CZŁONKÓW.

— Pan jest członkiem klubu Merion — domyślił się Myron, mistrz dedukcji.

Starszy pan odpowiedział ruchem szyi, bliskim skinięciu głową.

— Moja rodzina wywodzi się z czasów, kiedy powstał Merion — odparł z jeszcze wyraźniejszym snobistycznym akcentem. — Tak jak rodzina pańskiego przyjaciela Wina.

Myron spojrzał na niego bacznie.

— Pan zna Wina? — spytał.

Jego rozmówca uśmiechnął się blado i niezobowiązująco wzruszył ramionami.

— Jeszcze mi się pan nie przedstawił.

— Stone Buckwell. — Starszy pan wyciągnął rękę. — Wszyscy mówią mi Bucky.

Myron uściśnął mu dłoń.

— Jestem ojcem Lindy Coldren.

Bucky otworzył błękitnego cadillaca i wszedł. Włożył kluczyk do stacyjki. Z radia lała się muzyczka, co gorsza syntetyczna wersja *Raindrops Keep Falling on My Head*. Myron natychmiast otworzył okno, żeby wpuścić trochę powietrza i dużą dawkę normalnego hałasu.

Na terenie klubu mogli parkować tylko jego członkowie, więc nie mieli kłopotów z wydostaniem się z Merion. Na końcu ulicy skręcili w prawo, a potem jeszcze raz w prawo. Bucky na szczęście zgasił radio. Myron cofnął głowę do wnętrza.

— Co pan wie o mojej córce i jej mężu? — spytał Bucky.

— Niewiele.

— Nie jest pan wielbicielem golfa, co?
— Nie przepadam.
— To naprawdę wspaniały sport. Chociaż słowo „sport” nie oddaje golfowi sprawiedliwości.

— Mhm.

— To gra książęca. — Rumiana twarz Stone’a Buckwella rozjaśniła się, w jego oczach rozbłysła ekstaza, jaką widzi się tylko u ludzi głębokiej wiary, a w ściszym głosie zabrzmiał nabożny podziw. — Niezrównana. Człowiek toczy samotny pojedynek z polem. Nie ma na kogo zwalić winy. Nie ma kolegów z drużyny. Wyzwisk. Golf to najszlachetniejsza z gier.

— Mhm — mruknął ponownie Myron. — Przepraszam, panie Buckwell, nie chciałem wyjść na gbura, ale o co właściwie chodzi?

— Proszę mi mówić Bucky.

— Dobrze. Bucky.

Starszy dżentelmen skinął z aprobatą głową.

— Podobno pan i Windsor Lockwood jesteście więcej niż tylko współnikami w interesach.

— To znaczy?

— Słyszałem, że znacie się od dawna. Na studiach dzieliliście pokój, zgadza się?

— Dlaczego pyta pan o Wina?

— Wpadłem do klubu go odszukać. Ale sądzę, że tak jest lepiej.

— Jak?

— Że od razu trafiłem na pana. Może kiedy... no cóż, zobaczymy. Nie obiecuję sobie za wiele.

Myron skinął głową.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

Bucky skręcił w sąsiadującą z polem golfowym ulicę Golf House Road. Golfiarze to ludzie z wyobraźnią.

Po prawej było pole golfowe, po lewej okazałe rezydencje. Minutę później Bucky wjechał na kolisty podjazd prowadzący do dużego domu, zbudowanego z kamienia zwanego „rzecznym”. Kamień rzeczny był w tych stronach niebywale modnym budulcem; Win nazywał go „brukowcem filadelfijskim”. Budynku z dużym gankiem, zamkniętym z prawej strony, strzegł biały płot, masa tulipanów i dwa klony po bokach chodnika. Cadillac zatrzymał się. Przez chwilę obaj siedzieli bez ruchu.

— A więc o co chodzi, panie Buckwell? — zagadnął Myron.

— Mamy zmartwienie.

— Jakie zmartwienie?

— Wolałbym, żeby wyjaśniła to panu córka.

Bucky wyjął kluczyk ze stacyjki i sięgnął do klamki.

— Dlaczego zwróciliście się do mnie? — spytał Myron.

— Powiedziano nam, że pan może pomóc.

— Kto?

Stone Buckwell znowu wprowadził szyję w szybszy ruch. Kiedy wreszcie zatrzymał latającą jak na luźnym łożysku głowę, udało mu się spojrzeć Myronowi w oczy.

— Matka Wina.

Myron zeszytywniał. Serce zjechało mu nagle w ciemny szyb. Otworzył usta, zamknął je i czekał. Starszy pan wysiadł z samochodu i ruszył do wejścia. Po dziesięciu sekundach Myron podążył za nim.

— Win nie pomoże — powiedział.

Buckwell skinął głową.

— Właśnie dlatego zwróciłem się z tym do pana.

Podeszli ceglanym chodnikiem do uchylonych drzwi. Buckwell pchnął je lekko.

— Linda?

Linda Coldren, wysoka brunetka z krótkimi sprężystymi włosami, stała przed telewizorem. Białe szorty i żółta bluzka bez rękawów odsłaniały jej gibkie, wysportowane nogi i ręce o gładkich, długich mięśniach, które uwydatniała opalenizna. Zmarszczki przy oczach i ustach świadczyły, że kobieta ma pod czterdziestkę, ale Myron od razu zrozumiał, dlaczego jest ulubienicą reklamodawców. Była w niej drapieżna kobiecość, piękno płynące nie tyle z subtelności, co siły.

Śledziła transmisję z turnieju. Na telewizorze stały rodzinne zdjęcia w ramach. Kąt pokoju zajmowały obłożone poduchami duże kanapy ustawione w kształt litery V. Dyskretny wystrój jak na golfistów. Bez trawiastej wykładziny. Bez dołka. Bez golfowych ozdóbek, estetycznie stojących o parę klas niżej od, na przykład oleodruków z psami grającymi w pokera. Bez kubka z kołeczkiem i piłeczką, zwieszającego się z łopat łosia.

Linda Coldren znienacka strzeliła okiem w ich stronę, omijając Myrona i trafiając w ojca.

— Pojechałeś po Jacka — wypaliła.

— Nie skończył rundy — usprawiedliwił się Bucky.

— Zalicza osiemnasty dołek. — Skinęła w stronę telewizora. — Sądziłam, że na niego zaczekasz.

— Przywiozłem za to pana Bolitara.

— Kogo?

— Myron Bolitar — przedstawił się z uśmiechem Myron, robiąc krok do przodu.

Linda Coldren zerknęła na niego i spojrzała na ojca.

— Kto to jest?

— Poleciała mi go Cissy — odparł Bucky.

— Jaka Cissy? — spytał Myron.

— Matka Wina.

— Aha, rzeczywiście.

— Co on tutaj robi? Pozbądź się go.

— Lindo, posłuchaj! Potrzebujemy pomocy.

— Nie od niego.

— Pan i Win mają doświadczenie w takich sprawach.

— Win to psychol — wycodziła.

— O, a więc pani dobrze go zna — wtrącił Myron.

Linda Coldren wreszcie go zauważyła.

— Nie zamieniłam z nim słowa, odkąd skończył osiem lat — odparła, mierząc go piwnymi, głęboko osadzonymi oczami. — Ale nie trzeba skakać do piekła, żeby wiedzieć, że jest tam gorąco.

— Ładne porównanie — pochwalił Myron.

Pokręciła głową i zwróciła się do ojca.

— Powiedziałam wyraźnie: żadnej policji. Spełnimy ich żądania.

— Ale pan nie jest z policji.

— Nie powinienes mówić nikomu.

— Powiedziałem tylko siostrze — zaprotestował Bucky. — A ona nic nie powie.

Myron znów poczuł, jak sztywnieje.

— Chwileczkę — rzekł do Bucky'ego. — Pańska siostra jest matką Wina?

— Tak.

— Pan jest wujem Wina, a pani jego wujeczną siostrą?

Linda Coldren obrzuciła go takim spojrzeniem, jakby nasikał na podłogę.

— Co za inteligencja — zadrwiła. — Dobrze, że jest pan po naszej stronie.

Świat roi się od kpiarzy.

— Gdyby to nie rozwiało pańskich wątpliwości, mogę wyrysować nasze drzewo genealogiczne.

— Byle w żywych kolorach. Bardzo je lubię.

Skrzywiła się i odwróciła do telewizora. Jack Coldren ustawił się do kończącego strzału z odległości trzech i pół metra. Uderzył. Piłeczka zatoczyła łuk i wpadła do dołka. Widownia nagrodziła to bawkami. Gracz wyjął dwoma palcami piłkę i uchylił kapelusza. Na ekranie pojawiła się tablica IBM. Jack prowadził ogromną przewagą dziewięciu punktów.

— Biedak.

Linda Coldren pokręciła głową.

Myron nie odezwał się. Bucky również.

— Czekał na to dwadzieścia trzy lata — dodała. — Wreszcie sobie odbija.

Myron popatrzył na Bucky'ego. Bucky odpowiedział mu spojrzeniem i potrząsnął głową.

Linda, która wpatrywała się w ekran, dopóki jej mąż nie zszedł z pola, wzięła głęboki oddech i odwróciła się do Myrona.

— Jack jeszcze nie wygrał zawodowego turnieju, panie Bolitar. Najbliżej zwycięstwa był jako dziewiętnastolatek, w swoim pierwszym sezonie w gronie zawodowców. Właśnie wtedy po raz ostatni rozegrano w Merion Otwarte Mistrzostwa Stanów. Może pamięta pan nagłówki.

Znał w skrócie tę historię. Odgrzały ją poranne gazety.

— Stracił prowadzenie, tak?

Linda Coldren prychnęła kpiąco.

— Łagodnie mówiąc — odparła. — Od tej chwili zaczęło mu iść jak po grudzie. Zdarzały się lata, że nie załapywał się do turniejów.

— Wybrał świetny moment, żeby się odkuć. Otwarte Mistrzostwa Stanów.

Popatrzyła na niego jakoś dziwnie i splotła ręce pod piersiami.

— Gdzieś słyszałam pańskie nazwisko. Czy nie grał pan w koszykówkę?

— Owszem.

— W akademickiej lidze Wybrzeża Wschodniego. W drużynie uniwersytetu Karoliny Północnej?

— Uniwersytetu Duke’a — sprostował.

— Tak, Duke’a. Już pamiętam. Po naborze do NBA rozwałił pan kolano.

Myron wolno skinął głową.

— To był koniec pańskiej kariery, prawda?

Ponownie skinął głową.

— Ciężko pan to przeżył.

Nie odpowiedział. Machnęła ręką.

— To, co pana spotkało, ma się nijak do losu Jacka.

— To znaczy?

— Odnosił pan kontuzję. Na pewno dużo przeżył, ale nie z własnej winy. A Jack na osiem dołków przed zakończeniem turnieju miał sześć punktów przewagi. Zdaje pan sobie sprawę, co to znaczy? To tak, jakby na minutę przed końcem decydującego meczu o mistrzostwo NBA prowadzić dziesięcioma punktami. To tak, jakby w ostatnich sekundach spotkania zepsuć stuprocentowy wsad decydujący o mistrzostwie. Jack kompletnie się zmienił. Już się nie pozbierał. Resztę życia spędził, czekając na okazję do zmazania tej plamy.

Spojrzała na ekran. Znow pokazano tablicę wyników. Jack Coldren zachował dziewięciopunktową przewagę.

— Jeżeli znowu przegra...

Nie dokończyła zdania. Stali w milczeniu. Linda wpatrywała się w telewizor. Bucky, bliski łez, wyciągał szyję, drżała mu twarz, oczy miał wilgotne.

— Co się stało, Lindo? — spytał Myron.

— Nasz syn... Ktoś porwał naszego syna.